

Andrzej Kmiecik wyjął grzebień i poprawił w pośpiechu przed lustrem uczesanie włosów. Chciał wypaść dobrze – a nuż coś z tego będzie... W takich chwilach nie myślał za bardzo o żonie. Dziewczyna mu się podobała. Była w jego typie: ciemne kręcone włosy, śniada cera i szczupła, delikatna twarz. Każdy ma jakieś słabości. Wyglądała jak Żydówka, jak ta, którą wygrzmocił na obozie szkolnym w sześćdziesiątym drugim. To był jego pierwszy raz. Może dlatego tak go ruszyło, a może w tym wieku ruszało go już każde młode ciało. Huj wie... - mruknął pod nosem, po tym jak zgasił papierosa na umywalce.

- Co pan... Nie ma pan do cholery gdzie palić? – rzucił mężczyzna, który właśnie wyszedł z toalety.

Niezadowolony machnął kilka razy ręką przed nosem. Po chwili panowie wymienili groźne spojrzenia.

- A właśnie, że nie... – odparł Kmiecik. – To już nawet nie można sobie w spokoju zapalić?! Ameryki wam się kurwa zachciało.

I zaraz potem wyszedł. Nie trzasnął drzwiami, choć miał ochotę. Nie wypadało. Lepiej żeby go takim nie widziała. Ale irytował go ten pośpiech. Gdyby była brzydka szybko by ją splawił, a tak... To mogła być najprzyjemniejsza część dnia. Sprawdził zapięcie marynarki i ruszył do stolika odważnym krokiem.

- Pani wybaczy spóźnienie, ale ostatnio nie mam nawet kiedy krawata dobrze zawiązać.

- Jest pan rozchwytywany – odpowiedziała i zyczliwie się uśmiechnęła.

A Kmiecik pomyślał, że chyba ją jednak przeleci. Takie małolaty lubią przecież dojrzałych mężczyzn.

- Może nie aż tak, ale mam dużo pracy – odparł.

- Czytałam pana reportaż.

- I... ?

- Lubi pan kontrowersyjne tematy.

- To znaczy?

- Z tego co wiem dostał pan nagrodę za reportaż o Wołyniu.

- To według pani kontrowersyjny temat?

- To temat, który wciąż dzieli.

- To temat, którym wreszcie można się zajmować. Propaganda PRL nie pozwalała na wiele.

- Pochodzi pan z kresów?

- Nie, z Warszawy.

- Skąd więc zainteresowanie takim tematem?

- Ktoś musiał się nim zająć. To chyba oczywiste, że nie można milczeć w nieskończoność.
- Niektórzy mówią, że robi pan karierę na ludzkiej tragedii.
- Nic z tych rzeczy. Chcę pokazać prawdę. Zresztą... ataki na mnie pojawiają się głównie w ukraińskiej prasie.
- Nie lubi pan Ukraińców.
- To nie tak.
- Ale nazywa pan ich ludobójcami.
- Zaczynam czuć się jak na przesłuchaniu.

Uśmiechnęła się, a potem odpowiedziała:

- Przepraszam. To takie zawodowe zboczenie.
- Pani wybaczy, ale nawet nie pamiętam już pani imienia.
- Donka Ostrowska.
- Donka? – zdziwił się dziennikarz.
- Moja matka była cyganką.

Kmiecik napił się coli, a potem zapytał:

- Powie mi pani skąd te pytania. Czym się pani zajmuje?
- Prowadzę dochodzenie dotyczące zbrodni sprzed lat.
- Pracuje pani w Milicji?
- Mamy rok dziewięćdziesiąty drugi. Nie ma już milicji.
- Nie tak łatwo się przestawić.
- To też czytałam.
- Co takiego?
- Pana artykuł o stanie polskich służb. Nie ma pan o nas najlepszego zdania.
- Uważam, że pewne sprawy powinny zostać rozwiązane inaczej.
- Pracuję w Urzędzie Ochrony Państwa.
- Brzmi poważnie. Powinienem się czegoś obawiać?

- To zależy tylko od tego czy ma pan coś na sumieniu.

- Nie przypominam sobie.

Kmiecik popatrzył na medalion, który zalsnił na jej szyi, a potem zapytał:

- Co to za sprawa?

- Słyszał pan o wiosce Przedgórze?

- A powinienem?

- Jest pan znawcą tematu.

- Chce być pani uszczypliwa?

- To wioska tuż przy granicy z Ukrainą, w Bieszczadach. Kilka chałup... - Donka pokazała czarnobiałe zdjęcie. – Jej mieszkańcy zniknęli w czterdziestym trzecim.

- Zostali zamordowani? – zapytał Kmiecik, patrząc na zdjęcie.

- Najprawdopodobniej. Ciało jednak nigdy nie odnaleziono.

- Rozumiem. Nie wiem tylko wciąż co ja mam z tym wszystkim wspólnego.

- Jedyne naoczne świadki zdarzenia twierdzi... że tylko pan wie co się tam stało.

- To jakiś żart? – odparł dziennikarz. – Czy prowokacja?

- Nie, to relacja chłopca z sąsiedniej wioski.

- W czterdziestym trzecim nie było mnie nawet w planach, urodziłem się dwa lata później.

- Dużo o panu wiedzieli, zastanawiająco dużo.

- Kto?

- Ci ludzie... Spotka się pan z nimi, jeśli to umożliwiew?

*

Czemu się do cholery zgodził? Padało odkąd tylko wyjechał z Warszawy. A mógł zostać. Żona pojechała na wieś do rodziców. Mógł umówić się z Tereską, swoją studentką, którą rznął od trzech miesięcy. Każdy ma jakieś słabości - tak to sobie tłumaczył. Stał na balkonie hotelowego pokoju i palił papierosa. Niebo nad Bieszczadami było cały czas spowite szarymi chmurami. Żłota polska jesień... - zaśmiał się pod nosem. Chciał pójść do lasu, ale ziemia zamieniła się w bagno, w którym musiałby brodzić

aż po kostki. Wszystko tu do cholery gniło: nie tylko te cuchnące przeżółkłe liście, nie tylko przemoczone ubranie, ale również ten ośrodek... Popatrzył w dół na pokryty pleśnią basen, w którym zbierało się coraz więcej wody. Krople deszczu mąciły wściekle taflę. Uderzały w nią z furją, bez opamiętania. Kmieć był jednym z trzech gości, a pięćdziesiąt siedem pokoi stało pustych. Tak, ośrodek wypoczynkowy Zdrowie, niczym z trudem szukający oddechu starzec, czekał ze strachem w oczach na swój koniec.

- Panie, tu wszystko teraz upada. - Wspomniał słowa recepcjonisty. - Miała być Ameryka a jest coraz gorzej.

- Mówią, że będą prywatyzować.

- Mówią wszystko byle tylko zdążyć się nachapać.

- Za czerwonych było lepiej?

- Człowiek wiedział przynajmniej na czym stoi, a teraz...

Ludzie są tacy sami, zawsze będą narzekać – pomyślał Kmieć, mając już w głowie szkic nowego reportażu. Może przynajmniej tyle wycisnie z tego wyjazdu. Pytanie tylko ile będzie kosztować naprawa silnika. Skurwiel rzeźił całą drogę, aż w końcu padł jak koń na pustyni: z wycieńczenia... Panie to już nie samochód na góry - wspomniał słowa mechanika o swoim ukochanym fiacie 125p z osiemdziesiątego trzeciego. Konia na pustyni pan zabiera? – mechanik zarechotał w wyobraźni dziennikarza jeszcze głośniejsze niż w rzeczywistości. Może jednak dobrze, że pada – pomyślał Kmieć, starając się dostrzec jakieś pozytywy tej całej sytuacji. W przeciwnym razie chyba postradałby zmysły w ciszy, jaka mogłaby zalec na tych długich, pustych korytarzach. Wypalił papierosa, a potem zszedł do recepcji. Młody chłopak przestraszył się na jego widok. Nic dziwnego, trochę się zapomniał. Wciąż wpatrywał się w Świerszczyka, gdy Kmieć zapytał z szerokim uśmiechem na twarzy:

- Mogłbym przeszkodzić?

- Tak, oczywiście.

Biedny, nawet nie miał gdzie schować gazety. Po prostu położył te wielkie cyce opatrzone niemieckim tytułem na blacie przed sobą. Kmieć popatrzył na okładkę i nie potrafił odmówić sobie żartu:

- Nie sądziłem, że jeszcze kiedyś takie uczucie połączy te dwa narody - oznajmił, patrząc na tytuł „Deutsch Liebhaber”(tłumacz. Niemiecka kochanka). - Chłopak przełknął nerwowo ślinę, a Kmieć pozwolił sobie na kolejny żart. - Niech się pan z tego przynajmniej wypowiada.

- Tak, oczywiście.

- Kogo ja pytam. W końcu pan góral... - Dziennikarz uśmiechnął się złośliwie. - Wieczorną mszę o której tu macie?

Chłopak spojrzał na zegarek i odpowiedział:

- Za piętnaście minut chyba będzie.

- Macie parasolkę pożyczyć?

Kmiecik przeklął pod nosem. Już po raz kolejny. Ulica wyglądała jak górski potok. A on miał już mokre skarpetki. Powoli zapadał zmrok. Światła latarni wypełniały już kałuże mglistym blaskiem. „Hot dogi. Amerykańskie!” – dziennikarz przeczytał szyld nad zamkniętą blaszaną budą, a potem w ostatniej chwili uskoczył przed wodą, którą wyrzuciły na chodnik koła ciężarówki. Co się dzieje do cholery z tym narodem? – pomyślał zdenerwowany. Tak, to nie tylko strugi ulewnego deszczu ściekające wokół z rozpostartego nad głową parasola oddzielały go od otoczenia. Zawsze czuł się inny. Inny od kolegów w szkole, inny od znajomych z pracy, inny od tych wszystkich ludzi, których musiał nazywać rodakami. Nie zawsze inny znaczy lepszy, ale w jego mniemaniu tak właśnie było, a osiągnane sukcesy tylko to potwierdzały, pozwalały mówić do innych z góry, z pozycji autorytetu. W końcu zobaczył wysoką, drewnianą wieżę kościoła. Ta wiocha nie była taka mała. Kilka ulic to w tym regionie Polski obszar godny metropolii – uśmiechnął się pod nosem. Tak, lubił to swoje poczucie humoru. Drzwi kościoła były otwarte. Słyszał już śpiew wiernych. A gdy wszedł do środka, poczuł zapach mokrego drewna. Kościół był pełen. Nie pchał się więc głębiej, tylko stanął z boku, z pokornie opuszczonym spojrzeniem i splecionymi przed sobą, odpowiednio dla powagi wydarzenia dłońmi.

Pochylcie głowy na błogosławieństwo... - oznajmił wreszcie ksiądz po kilkudziesięciu minutach wspólnej modlitwy.

Msza dobiegała końca, a Kmiecik wciąż z zaciekawieniem spoglądał na witraż w bocznej kaplicy, gdzie Archanioł Michał triumfował nad pokonanym diabłem.

Idźcie w pokój Chrystusa... Ofiara została spełniona.

Bogu niech będą dzięki...

Musiał zapalić. Dusił go już ten zaduch. Tak naprawdę nie lubił przecież kościołów, ale jakoś to jednak działało. Tak go wychowała matka, tak go wychował ojciec. A poza tym to środowisko katolickich intelektualistów wyniosło go przecież do rangi mistrza reportażu. Co miał zrobić? Jeśli chciał się utrzymać na szczycie, musiał wciąż patrzeć na świat oczyma swoich czytelników, a ci w zdecydowanej większości nie wychowywali się na Trybunie Ludu. Sięgnął po papierosa od razu, gdy tylko zniecierpliwiony tłum wiernych wypchnął go za bramę kościoła. Wciąż padało, więc schował się pod wiatę przystanku autobusowego. Wypuścił dym z ust i spoczął spojrzeniem na przeciekającym daszku. Miłośnik pornoli z recepcji miał rację – pomyślał. Miała być Ameryka a nie potrafią załatać jednej cholernej dziury. Popatrzył na wychodzących z kościoła ludzi. Im większe zadupie, tym bardziej się stroją... – zirytował się. Sam jednak nie wiedział czym. I aż zakrztusił się tą myślą... Zakasał jak gruzlik, a potem dopalił papierosa. I to właśnie wtedy, kiedy kiep wylądował w kałuży, rozległ się klakson. Szyba w czerwonym polonezie po drugiej stronie ulicy opuściła się i dziennikarz usłyszał znajomy głos:

- Wsiada pan?

Wsiadł, a Donka od razu ruszyła.

- Co pani tu robi? – zapytał zdziwiony.

Deszcz wściekle dudnił w dach auta.

- Ja?

- Mam uwierzyć, że to przypadek? Mieliśmy się spotkać dopiero jutro.

- Nie, to nie przypadek.

- Jak mnie pani znalazła?

- Mam takie zboczenie: kościoły. Wszędzie gdzie trafia, muszę odwiedzić przynajmniej jeden. Nic innego nie mówi mi tyle o duszy, naturze miejsca... Wie pan czyje to słowa?

- Chyba się domyślam.

- Udzielił pan tego wywiadu nie tak dawno.

- Wie pani o mnie zastanawiająco dużo.

- Wiem o panu więcej niż się pan może spodziewać. – Uśmiechnęła się, patrząc na drogę. – Ale bez obaw. Zapytałam w hotelu, powiedzieli mi gdzie pan poszedł.

Kmiecik kiwnął głową i ze zdumieniem przeczytał tytuł książki, którą wciąż trzymał w ręku, a na której prawie usiadł, wskakując do auta.

- Czyta pani takie rzeczy? – zapytał po chwili.

- Taką wybrałam sobie pracę.

- UOP zajmuje się takimi sprawami? Myślałem, że ochraniacie nas przed ludźmi – zaśmiał się.

- Pan nie wierzy w takie rzeczy? Sam pan powiedział, że miejsca mają duszę.

- Wierzę. Natomiast to akurat... była metafora. Przenośnia. Wie pani co to takiego?

- W tej książce napisane jest, że miejsca też mają pamięć.

- Pamięć?

- Że reagują podobnymi schematami na określone bodźce, że można je nawet sprowokować. To się też odnosi do tej duszy.

- Mógłbym wiedzieć w jaki sposób?

- To jak z pomieszczeniem wypełnionym gazem, czasem wystarczy tylko iskra. W przypadku pamięci, to może być na przykład złe wspomnienie.
- Zaciekała mnie pani.
- Ci świadkowie twierdzą, że jutro będzie rocznica.
- Czego?
- Tych wydarzeń w wiosce.
- Dlatego chce pani pojechać tam akurat jutro?
- Pan wie, że wtedy podobno też padało.
- Nie należę do osób zbyt przesądnych.
- I ja nie. Dlatego wydaje mi się, że może pan spać spokojnie.

Kmiecik popatrzył na nią podejrzliwie. Miał wrażenie, że w jej głosie czai się jakaś groźba, że... ta piękna, ale dziwna kobieta nie mówi mu wszystkiego.

- Dokąd jedziemy? – zapytał.
- Nie poznaje pan?
- Noc wszystko zmienia.
- To pana ośrodek.

Chwilę później zatrzymała auto przed hotelem.

- Pani nie wysiada?
- Śpię gdzie indziej.
- Mają niewielu gości. Może dotrzyma mi pani towarzystwa?
- Nie tym razem. – Wyjęła z szafki teczkę. - Chciałabym, żeby zapoznał się pan z tymi zeznaniami przed jutrzejszym spotkaniem. Może to pan dla mnie zrobić?

*

Przybiegła sąsiadka. Była przerażona. Wrzeszczała w niebogłosy. Byłem wtedy jeszcze dzieckiem. Nie rozumiałem wszystkiego. Matka kazała mi uciekać. Zapytałem „Gdzie?”. Rzuciła, żeby do wujka, do Sobotycz. Przecież to tak daleko - odpowiedziałem, ale ona wypchnęła mnie za drzwi. Biegnij! –

krzyknęła tylko. Nie wiem czemu nie uciekli ze mną, nie wiem, przecież wyglądali jakby wiedzieli co się stanie. Byłem na skraju wioski, gdy zobaczyłem w lesie pochodnie. Nie, nie jedną, było ich wiele. Miałem wrażenie, że są wszędzie. Chyba otoczyli wioskę. I ten wrzask... Pamiętam ten wrzask. Jakby otworzono piekło, a z głębi ziemi wydobywały się jęki tysięcy cierpiących. Pisk, jazgot, a może wszystko naraz. Nawet nie wiem jak to nazwać. Byłem przerażony, nie wiedziałem gdzie się skryć, a oni byli coraz bliżej. Ale wtedy wiedziałem już, że muszę uciekać. Dziecko nawet jak nie rozumie, to czuje takie sprawy. A ja czułem wtedy po prostu zło. Lewo, prawo... Gdzie?! I nagle ujrzałem zarośla, w których tak lubiłem się kryć podczas zabaw w chowanego. Nawet nie miałem wyjścia. To była jedyna szansa. Zaraz potem ich bose, brudne stopy przebiegły tuż obok. Pamiętam te nogi, te pazury... Leżałem z twarzą przy ziemi, pod gałęziami i to te nogi zobaczyłem najpierw. Dopiero potem podniosłem wzrok. Nie, proszę mi wierzyć, to nie byli ludzie, to nie byli nasi sąsiedzi. Widziałem ich twarze. Były wymazane krwią, wściekle i te oczy... jak żarzące się węgle, płonęły nienawiścią, ale... jakby były już martwe.

Kmiecik położył zeznanie chłopca na stoliku przy łóżku, pod materiałowym kloszem lampki. Jej tłumione światło ledwo sięgało ścian, zanurzając pokój w półmroku. Nie miał ochoty spać. Usiadł na brzegu łóżka i głęboko westchnął. Ale myślami był jeszcze tam. Po chwili ponownie spojrzał na dokument, który przekazała mu Donka. Ten dzieciak naprawdę zobaczył piekło. Nie każdemu jest to dane. Widły, siekiery i płonący wokół ognia... Kmiecik wyobraził sobie to wszystko. Jak daleko może jeszcze sięgnąć ludzki obłąd? – pomyślał. Jak ci ludzie mogli zrobić coś takiego? Obrońcy miłosiernego narodu ukraińskiego mogą mówić wszystko, ale Polacy w swych zbrodniach nie byli aż tak bestialscy. Kmiecik uznał, że ostre zakończenie ostatniego artykułu, w którym podjął się polemiki z ukraińskim historykiem, było jednak jak najbardziej na miejscu. Wstał, przesunął zasłonę i wyszedł na balkon. Przed snem lubił wypalić papierosa, a na zegarku było już tylko kilka minut do drugiej. Nie powinien czytać takich opisów o tej porze. Popatrzył na las, którego gęstwina odcinała się od pochmurnego nieba jedynie ciemnym jak sadza odcieniem. Nie, nie chciałby się tam teraz znaleźć. Ta ziemia zawsze była przeklęta. Ginęli na niej przecież nie tylko Polacy i Ukraińcy. Przesiała krwią Żydów, Niemców, Rosjan... i Bóg jeden wie czyją jeszcze. Tylko... czego mógł tu szukać UOP? Wciąż coś mu nie pasowało. Tak, te wszystkie zbrodnie oczywiście trzeba było rozliczyć, tylko, że... obecna władza starała się raczej o wszystkim zapomnieć. Wypuścił dym z ust i zmarszczył podejrzliwie brwi niczym komisarz śledczy. I ta kobieta... Czekala przed kościołem jak... jakiś demon cierpliwie czyhający na swoją okazję. Zwabiła go swym wdziękiem, a wieczorem nawet nie chciała wypić z nim kawy. No cóż.. Może wiedziała na co ma ochotę – Kmiecik uśmiechnął się pod nosem.

Nie wyspał się. Już o siódmej rano słońce spoliczkowało go swym blaskiem. Otworzył oczy i od razu wspomniawszy jaką wizję uraczyła go ta noc. To było chore. Ale czuł jeszcze lekkie podniecenie. Zakazany owoc smakuje najbardziej? – pomyślał, po czym wstał i udał się do łazienki. Golił się prawie codziennie, by jak to mówił: „nie wyglądać jak zwierzę”. Popatrzył w lustro. Jeszcze mu trochę stał. Obraz nagiej Donki wrócił przed oczy. Pieprzyła się jak dzika – wspomniawszy, a potem obmył twarz w zimnej wodzie. Ale nie, nie czuł już do siebie obrzydzenia, nie był nastolatkiem, który ma jeszcze jakieś wątpliwości co do słabości własnego ciała. Tylko... co to miało znaczyć? Co chciała powiedzieć podświadomość w tak chory sposób? Obserwował w lustrze jak krople wody, niczym lzy ściekały po policzkach. Czemu ich podglądał? I czemu nie robiła tego z nim, tylko z tym zakompleksionym wielbicielem papierowych piękności z recepcji? Zaśmiał się pod nosem. Nie rozumiał siebie, jak więc... mógł zrozumieć in-

nych? – pomyślał, ale z refleksem godnym rewolwerowca, szybko i skutecznie odrzucił to niewygodne pytanie.

Byli umówieni na dziewiątą, a, gdy zszedł pięć minut po, Donka już czekała. Stała przy recepcji i... rozmawiała z tym gówniarzem, który tej nocy, oczywiście tylko w świecie marzeń sennych, rozprawił się z nią w tak zuchwały sposób.

- Mam nadzieję, że nie czeka pani długo - oznajmił dziennikarz bez cienia zażenowania.
- Nie, oczywiście że nie – uśmiechnęła się dziwnie, jakby jednak coś wiedziała.
- Dziś już jednak nie pada - Kmiecik z uśmiechem nawiązał do rozmowy z dnia poprzedniego.

A Donka odpowiedziała od razu, bez zastanowienia:

- Jeszcze nie.

Stali w trójkę przy długiej drewnianej ladzie, a cisza, która nagle zapadła uderzyła dziennikarza swą niezręcznością.

- Na coś czekamy? Chyba możemy jechać - oznajmił w końcu.
- Jest pan już gotowy? – zapytała Donka.
- Jak najbardziej.

A wówczas stało się coś, co przez najbliższe minuty męczyło wyobraźnię Kmiecika. Donka rzuciła do recepcjonisty:

- Do zobaczenia. Będziemy to musieli jeszcze kiedyś powtórzyć.

Jechali na wschód, tam gdzie na mapie, w granicach Polski są już tylko lasy. Nie tylko nie padało. Nawet słońce tego ranka było łaskawe i oblewało Bieszczady utęsknionym blaskiem. Dzień nie miał w sobie nic z tej groźby, która miała dusić spokój mieszkańców tych ziem siedemdziesiąt trzy lata wcześniej. Tylko Donka dziwnie milczała. Cały czas patrzyła jedynie na drogę.

- Coś się stało? – zapytał w końcu Kmiecik.
- Co ma pan na myśli?
- Jest pani dziś małowówna, czy tylko tak mi się zdaje?
- Nie mogłam spać. Jestem zmęczona. – Kmiecik kiwnął głową ze zrozumieniem. – A pan? Spał pan dobrze?
- Nawet bardzo dobrze - skłamał. - Świeże, górskie powietrze zawsze dobrze mi robi.

Popatrzył w boczną szybę, na uciekający za oknem las, który jakby... wciągał ich coraz głębiej.

- Jak daleko jest ta wioska? – zapytał.

- Jeszcze kilka kilometrów do skrętu.
- Jechałem już chyba kiedyś wtedy... Zdaje się, że na Ukrainę.
- Możliwe, kilkanaście kilometrów przed nami jest już granica.
- Nie zapyta pani, czy przeczytałem te zeznania?
- Miałam to w planach. – odpowiedziała. A Kmieciak kiwnął głową i poczuł, że wymusił następne pytanie.
– I co pan o tym wszystkim myśli?
- Co myślę? Widzę pewne nieścisłości.
- To znaczy?
- Jeśli dobrze pamiętam powiedziała pani, że nie odnaleziono ciał.
- Do dziś.
- Ten chłopak widział jak ich chowano, wskazał nawet miejsce.
- Tak, krzyże stoją tam do dziś, tylko, że ciała zniknęły.
- Zniknęły?
- Sam pan zobaczy.
- Po to tu jesteśmy? By to właśnie wyjaśnić?
- Można tak powiedzieć.
- A jeśli dzieciak to wszystko zmyślił?
- Niektórzy tak mówią.
- Nie ma innych świadków?
- Nie ma.
- A ci którzy ich chowali?
- Chłopak nie pamięta kto to był.
- Nie pamięta?
- Był w szoku.
- A ten jego wujek z Sobotycz? Ktoś tam przecież musiał jeszcze być.
- Będzie pan miał okazję zapytać.

Niedługo potem skręcili. Popękany asfalt został zastąpiony utwardzoną ziemią z głębokimi koleinami chyba po kołach ciągnika. Teraz samochód nie tylko podskakiwał, ale też rzucał się na boki. Droga była wąska, a las coraz gęstszy. Rosnące po obu stronach krzaki jak wściekle zaczęły drapać swymi pazurami w okna. Nieciekawe miejsce – pomyślał Kmiciek, czując jak wszystko przewraca mu się w żołądku. Po pewnym czasie droga na szczęście się jednak uspokoiła.

- Myślałem już, że wszystko zwrócę – zażartował dziennikarz.

Ale Donka nie odpowiedziała, a minę miała już tak poważną jak na pogrzebie. Chwilę później jakieś pole, jakby przyprószone lśniącem w blasku słońca złotem, wyrzało ku nim zza drzew. Nie wiedział czemu, ale poczuł, że są już blisko.

- To tu? – zapytał Kmiciek.

Donka zatrzymała samochód przed spróchniałym płotem, który ze starości chylił się ku masce auta. Gdy wyłączyła silnik, zapadła cisza.

- Tak, jesteśmy na miejscu – odpowiedziała po dłuższej chwili, po czym wyszła.

Przeglądał się jej. Najpierw podeszła do płotu, spojrzała na podwórko, a potem w głąb lasu. A twarz cały czas miała ściągniętą tą tajemniczą powagą. Czego szukała? Popatrzył na drewnianą chałupę, której dach był pokryty strzechą. Wyglądała na starą, ale wciąż tliło się w niej życie. Farba nie wszędzie trzymała się ściany, dach był trochę zapadnięty, ale w oknach wisiały białe jak śnieg firanki. Kmiciek otworzył drzwi i wystawił nogi na zewnątrz.

- Chyba nikt na nas nie czeka - rzucił.

Ale po chwili zza chałupy wyłonił się mężczyzna. Dziennikarz chciał się już uśmiechnąć na powitanie, ale gospodarz przeszedł obok ogródka, a potem wszedł do domu, jakby w ogóle ich nie zauważył. Kmiciek popatrzył na Donkę, która wciąż stała przy płocie.

- Chodź – zawołała go chwilę później, po czym odsunęła płot i weszła na posesję.

Poszedł za nią. Za chałupą znajdowały się chyba jeszcze inne gospodarstwa. Zobaczył tyle ile zdążył. To miejsce wyglądało na zagubione w czasie: nie widział żadnych przewodów wysokiego napięcia, a na podwórku obok studni z żurawiem, zamiast samochodu, stała furmanka, do której zaprzęgnięty był koń.

- Brrr... - zaśmiał mu się w pysk Kmiciek, przechodząc obok.

A zwierzę wierzgnęło wówczas wściekle wyraźnie przestraszone. Gospodarz wyszedł przed chałupę i krzyknął:

- Mieszka! Spokój!

Donka zatrzymała się przed schodkami, prowadzącymi do domu i oznajmiła, wskazując głową na dziennikarza:

- To on.

Gospodarz miał nieprzyjemną twarz - przeoraną trudami życia i zmarszczoną we wrogim wyrazie. Zdawało się, że dopiero co skończył pracę – miał na sobie rozpiętą jasną, ale brudną koszulę i czarne spodnie wciśnięte w gumowe kalosze. Popatrzył na Kmiecika, a potem rzucił:

- Wejdźcie do środka.

Weszli do izby, w której oprócz osmolonego kaflowego pieca stał stół. Gospodarz wskazał na krzesła, więc Donka i Kmiecik usiedli.

- Musimy poczekać do zmroku – oznajmił.

Donka kiwnęła głową i pokornie opuściła spojrzenie. Zachowywała się dziwnie, niczym podwładna tego samozwańczego mistrza ceremonii, który wyglądał na prymitywnego chłopca.

- Przepraszam, ale na co mamy czekać? – zapytał Kmiecik.

Gospodarz popatrzył na niego jak nauczyciel na tępego ucznia, a potem zapytał Donkę:

- Nie powiedziałaś mu?

- Wie tyle ile powinien.

Kmiecik popatrzył na Donkę z niezrozumieniem, ale ta dalej omijała go spojrzeniem.

- Co pamięta? – zapytał gospodarz.

Rozmawiali tylko ze sobą, jakby Kmiecika tam w ogóle nie było.

- Zdaje się, że nic - odpowiedziała Donka.

- Przypomni sobie.

Tym razem Kmiecik już nie wytrzymał.

- Hola, hola... - powiedział stanowczym głosem. – Powie mi ktoś w końcu co tu się w ogóle dzieje?

Gospodarz znów na niego popatrzył i po chwili oznajmił:

- Pójdziemy tam dopiero po zmroku.

- Ale dokąd? Z tego co wiem miałem się tu z kimś spotkać.

- Na polanę.

- Jaką polanę? To pan powiedział Donce, że ja o czymś wiem? Pan jest tym chłopcem, który widział tą rzeź?

- Pan naprawdę nic nie pamięta, ale proszę mi wierzyć... że oni tam wciąż czekają.

- Ale kto?

Kmiecik miał wrażenie, że jakieś przerażenie przemknęło po twarzy gospodarza.

- Ci ludzie... Nasi sąsiedzi.

Dziennikarz zaśmiał się pod nosem, a potem zapytał pogardliwym tonem:

- I na co tak czekają?

- Aż ktoś w końcu powie prawdę.

Donka wstała, złapała się za brzuch i powiedziała, że musi na moment wyjść. Zaraz potem Kmiecik zobaczył ją przez okno idącą w kierunku drewnianego wychodka. Usłyszał brzęk szkła:

- Co to? – zapytał, ze zdziwieniem patrząc na gospodarza.

- Niech się pan napije.

- To wódka?

- Bimber. Pędzony u naszych.

- Nie mogę.

- Pan zaufa mi, że tak będzie lepiej.

Gospodarz polał bimbru do dwóch szklanek, które postawił na stole. A ręce trzęsły mu się przy tym jakby ze zdenerwowania.

- Na zdrowie! – oznajmił prawie od razu.

I wypił wódkę duszkiem, nie zważając na to, że gość nawet nie sięgnął po szklankę. Wytarł pięścią usta i rzucił:

- Stara mówi, że będzie padać, że widziała chmury, że to się zbliża...

- Kim pan jest? – zapytał dziennikarz.

- Matka mówi, że nikim, że jestem tu tylko po to, by znów was tam zaprowadzić.

Mężczyzna miał teraz nieobecne spojrzenie. Patrzył na okno, ale zdawało się, że widzi znacznie więcej niż może.

- Pana matka tu gdzieś jest?

Gospodarz popatrzył na Kmiecika jakby przestraszony, wyraźnie się zawahał, ale w końcu odparł:

- Pan sobie wszystko przypomni. W każdym razie... Muszę wyjść. Wrócę przed zmrokiem – rzucił i jak powiedział tak zrobił.

Kmiecik został sam. Pokręcił głową z niezrozumieniem. Co to wszystko miało znaczyć? Popatrzył na zegarek, potem na okno i szklankę... Nie, to miejsce nie budziło w nim zaufania. Przynajmniej słońce świeciło mocno, przyjemnie tuląc się z okna do karku. Naprawdę chciał zostać tu do zmroku? Chyba jednak tak. Pomimo wszystko był wciąż ciekawy jak to wszystko się zakończy. Może ludzie właśnie z tej chorej ciekawości robią te wszystkie głupstwa - pomyślał. Z ciekawości i nudy. Wstał i przeszedł się wokół izby. Żadnych zdjęć, jakaś zupa w garnku, jedna stara prycza w sąsiednim pokoju. Tak, to irytujące skrzypienie podłogi było odpowiednią narracją dla obrazu samotności, jaki go tu zastał. Ani telewizora, ani radia... Odpowiadały tylko stękające pod stopami deski i trzeszczące od przeciągów powietrza ściany. Co mogło zrodzić się w takim miejscu? – pomyślał. *Miejsca też mają pamięć...* - wspomniał słowa Donki. Wyszedł przed chatę i westchnął jak po ciężkim wysiłku. Obok, pod frontowym oknem stała prosta, drewniana ławeczka, taka sama jak ta, którą pamiętał z dzieciństwa, z wakacji u babci na Pomorzu. Tam zazwyczaj siedziało na niej kilku podchmielonych panów, grających w karty, ale tu... Ta cisza na pewien sposób była jednak też urzekająca. Zdawało się, że usłyszał las. Nadstawił uszy. Jakiś ptak zaczął z zaważaniem z tych wysokich, obumierających drzew, które jakby na przekór zbliżającej się zimie, rozkwitły bogactwem ciepłych kolorów. W powietrzu unosił się zapach przegniłych liści. Kmiecik wyjął papierosa i zapalił. Po prawej stronie, już za domem wąska ścieżka gubiła się w leśnej gęstwinie. Tam mieli pójść? Spojrzał w przeciwnym kierunku, na czekający za płotem polonez Donki, a potem na żółtą, wyprasowaną kołami furmanki trawę. Chwilę później postanowił pójść ich śladem, zajrzeć za dom.

Przeszedł obok wychodka, w kierunku szopy, którą widział z okna w izbie. Zatrzymał się i znów rozejrzał dookoła. Czego miał się tu bać? – pomyślał na przekór temu, co wciąż podpowiadała intuicja. Przecież był już w niejednym takim miejscu - niepozornym, ukołysanym do snu szumem wiatru i śpiewem ptaków, ale jednak naznaczonym winą. Widział już przecież tyle mogił i to nie tylko na Wołyniu. Co więc jeszcze mogło go zaskoczyć? Skąd brał się ten niepokój, który nieoczekiwanie się w nim budził? *Wystarczy iskra...* Zajrzał do szopy: pociągnął drewniane drzwi, które zaskrzypiały na zardzewiałych zawiasach i przestąpił wysoki próg. Od razu poczuł zapach drewna, a pod stopami miękkie jak gąbka trociny. Klocki pociętego drewna, ułożone starannie jeden na drugim, wypełniały całe pomieszczenie, niczym książki w bibliotece. Odślonięte były tylko górne fragmenty ścian, gdzie ze szczelin pomiędzy deskami dzień ciał ciemność swym blaskiem. W ciemnym rogu kryło się ostrze siekiery, obok leżał cep. Kmiecik pamiętał, że babka zamknęła go kiedyś w takiej szopie za złe zachowanie. Z początku udawał odważnego, a potem... zaczął wyć jak opętany. Wyszedł zaraz potem, zamyślony, ruszony tym dziwnym wspomnieniem. I nawet już nie słyszał tej podejrzanej ciszy, która wciąż czekała na niego za drzwiami. Poszedł dalej z zamyślonym spojrzeniem, błądzącym gdzieś po trawie.

- Pan myśli, że to byli ludzie? – usłyszał nieoczekiwanie.

Donka siedziała na pieńku do rąbania drewna, tuż za szopą. Kmiecik popatrzył na nią dłuższą chwilę bez odpowiedzi. Był wyraźnie zaskoczony. Pojawiła się tam jakby znikąd.

- Niby kto? – odparł w końcu.

- Ci, którzy zrobili to wszystko.

Kmiecik uśmiechnął się jak do naiwnego dziecka.

- Myślę, że tak – odpowiedział. – Myślę, że to byli ludzie.

Ale dziewczyna nie przejęła się jego uśmiechem. Opuściła spojrzenie i jakby zahipnotyzowana widokiem

przeszłości, powiedziała:

- Mieli siekiery, widły, motyki... I nie wystarczyło im tylko jedno uderzenie, nie wystarczała im sama śmierć. Oni karmili się cierpieniem, wrzaskiem... i to nie tylko mężczyzn, ale też niewinnych kobiet i dzieci. Zdzierali z nich skórę, patroszyli jak...

- Dość – przerwał jej, a Donka podniosła spojrzenie. – Czytałem zeznanie. Teraz pani już wie do czego zdolni są ludzie.

- Tak pan myśli?

- Boję się tylko, że to i tak nie wszystko.

- Wie pan czemu pana wybrałam?

- Wybrała mnie pani?

- Doskonale rozumie pan naturę zbrodni.

- Co chce pani przez to powiedzieć?

- Wiem co się panu śni.

Kmiecik roześmiał się, świadomie potęgując swoje zaskoczenie.

- Może mi więc pani powie?

Donka zamyśliła się, ale w końcu odpowiedziała:

- W tej książce jest napisane, że demona nie można zabić. - Trzymała na kolanach *Podręcznik do Demologii*, na którym Kmiecik prawie usiadł dzień wcześniej w samochodzie. – To zaraza. Przenosi się z człowieka na człowieka.

- Jeśli dobrze panią zrozumiałem... Albert Camus pisał o tym w *Dżumie*, o uśpionym bakcyli zarazy.

- Więc wie pan o czym mówię? – Uśmiechnęła się dziwnie. – W takim razie rozumie pan więcej niż mi się zdaje, - Wstała i oznajmiła. - Mam zakończenie dla pana następnego reportażu.

- Mojego reportażu? – zdziwił się Kmiecik.

Pokazała książkę.

- Niech pan zapamięta, strona sto dwudziesta czwarta, wers szósty, drugie zdanie.

- Pokaże mi pani?

- Jeszcze nie czas.

Odeszła, wciąż z tym dziwnym uśmiechem na twarzy, a Kmiecik odprowadził ją wzrokiem, zastanawiając się do czego ma prowadzić ta jej dziwna gra, której teraz stał się świadomy.

Niedługo potem wrócił do chałupy. Popatrzył na stół. Szklanka wciąż czekała. Podniósł ją pod nos i ostrożnie powąchał. Czysta... Czemu miałby się nie napić?

Wyszli z wioski po zmroku, tak jak chciał gospodarz. A ciemność była już na tyle głęboka, że zdawała się odpowiadać echem na ich każde słowo. Kmieć starał się nie słyszeć tego dziwnego pogłosu, który miał być jedynie dziełem sprowokowanej niepokoju wyobraźni. Ale ten las nie był martwy... Dziennikarz rozglądał się uważnie na boki, idąc jednak wciąż krokiem zdecydowanym, godnym odważnego mężczyzny. Tak, ta ciemność zdawała się mieć oczy, skryte tylko gdzieś w tej leśnej gęstwinie. Czy mogły to być oczy nie drapieżnika, a głodnej zemsty ofiary? Kmieć uśmiechnął się pod nosem, tak do siebie. Uśmiech pomaga przecież zawsze, nawet w takich chwilach jak ta, przeżartych nie-nazwaną obawą.

- Daleko to stąd? – zapytał, przerywając ciszę, która zaczynała go coraz bardziej irytować.

- Nie – odparł gospodarz, który szedł na przedzie jako przewodnik.

Z początku rozmawiali głośno, ale teraz gospodarz odpowiedział już szeptem. Czyżby się zbliżali? Kmieć wyjrzał daleko przed siebie. Czy naprawdę ktoś tu wierzył, że ujrzą coś więcej niż kilka przekrzywionych krzyży? Tak, teraz już wiedział dokąd szli. Na polanę, gdzie to wszystko się skończyło, gdzie obłąd wreszcie nasycił się niewinną krwią. Dziennikarz wciąż widział jednak tylko milczące drzewa, pomiędzy którymi czuł się jak w mrocznym labiryncie. Trafił by z powrotem do wioski? Nie, zdecydowanie wolął nie odpowiadać na to pytanie. Żeglarze w takim momencie poszukaliby na niebie pewnie Gwiazdy Północnej – przypomniał sobie i zadarł głowę do góry. Ale nieba tego dnia nie było nad ich głowami, tylko... jakby porozcinane ostrymi konarami drzew płyty osmolonej wilczej skóry. Skąd do cholery takie porównanie? – pomyślał zaskoczony bogactwem swojej wyobraźni. Ale nie zastanawiał się nad tym długo, po chwili bowiem usłyszał:

- Widzicie? – szepnął gospodarz i wskazał na coś leżącego dwa metry dalej.

- Co to? – odparła przestraszona Donka.

Kmieć przyjrzał się uważnie. Na szerniałej od mroku kępie mchu leżał kawałek poszarpanego mięsa.

- Jakiś jeź? – zapytał po chwili.

- Tu nie ma jeży – odpowiedział gospodarz, a potem uśmiechnął się i ruszył dalej.

Kmieć popatrzył na Donkę. Szukał z nią jakiegoś porozumiewawczego spojrzenia, ale ta w żaden sposób nie odpowiedziała, tylko jak zahipnotyzowana poszła dalej za swym przewodnikiem. Co go bardziej niepokoiło? Legenda tego miejsca czy ich zachowanie? Po co do cholery go tam prowadzili? Miał naprawdę uwierzyć w te bajki?! Szli dalej, ale z czasem coraz wolniejszym krokiem, jakby chcieli wsłuchać się w tę ciszę, która cały czas podążała za nimi. Tu ten chłopak zobaczył pochodnię? – pomyślał Kmieć. Podobno nawet niebo zapłonęło ich blaskiem.

- Nie ma ich jeszcze - oznajmił gospodarz.

A Kmieć poczuł dziwną ulgę – jakby dopiero wówczas zdał sobie sprawę, że to wszystko musi być tyl-

ko jakimś żalonym żartem.

- Szkoda. Bardzo chciałem ich wszystkich poznać - zadrwił odważnie.

- Niech pan mówi ciszej.

- Bo...? – Dziennikarz roześmiał się pod nosem.

- Oni się wciąż boją. - Gospodarz dalej szeptał jak wtajemniczony.

Ale Kmiecik patrzył już w las jak na nagą, starą kobietę, która straszyć mogła tylko w przebraniu, a teraz budziła jedynie pogardę i drwinę.

- Jeśli ich pan przestraszy... przestaną za nami iść... - dodał gospodarz i zrobił duże oczy, jak dusząca się na brzegu własnym strachem ryba.

- Idą... za nami? – zapytał Kmiecik, udając coraz bardziej rozbawionego .

A gospodarz spojrzał za niego, w las.

- Muszą być bliżej niż nam się wydaje – odparł szeptem.

Jego spojrzenie zatopilo się w tej już wówczas nieprzeniknionej ciemności na dłuższą chwilę. Co kryła? Co mógł do cholery tam widzieć? Kmiecik miał wrażenie, że przez moment na twarzy mężczyzny znów zagościł uśmiech, ale taki uśmiech, który może być tylko i wyłącznie dowodem szaleństwa.

- Nieważne - wyszeptał po chwili przewodnik, ale jakby bardziej do siebie.

I zaraz potem uciekł spojrzeniem z głębi lasu, wydawało się, że spłoszony jakąś myślą. Machnął głową dziwnie na boki, jakby wciąż próbując odegnać od siebie uporczywie brzęczącą nad uchem muchę. A potem ruszył dalej, w odczuciu dziennikarza, zdecydowanie żwawszym krokiem.

- Pan chce nas przestraszyć? – zapytał Kmiecik.

- Nic tu strach. – Gospodarz odgarnął gałąź, która zagradzała drogę. – Wezwaliśmy cię tu, tylko byś zrozumiał.

- Świetnie się bawię, ale to na mnie nie działa. Gdzie są te krzyże?

- Tam.

Gospodarz zatrzymał się i wskazał ręką. Kmiecikowi jakby dopiero co otworzyły się oczy. Stali już na brzegu polany. Jak to się stało, że nie zobaczył jej wcześniej? Spojrzał na niebo. Jak to się stało, że polana lśniła blaskiem pełnego księżyca? Aż zmrużył oczy. Poczuł się tak jakby ktoś skierował reflektory na scenę, a on stanął po jej środku.

- Noc odsłania kurtynę - oznajmił gospodarz jakby dziwnie podniecony.

- Co takiego?

- Tak to się zaczyna... Zawsze.

Gospodarz zaczął nerwowo rozglądać się dookoła. Czego mógł szukać? Wyglądał na podekscytowanego... ale jakby swoim strachem. Po chwili przykucnął tuż za gęstym krzakiem.

- Tutaj. Chodźcie – powiedział.

- Na co czekamy? – rzucił zniecierpliwiony Kmiecik.

Chciał ruszyć, ale gospodarz zatrzymał go gestem dłoni.

- To nie żarty, synu.

- Jakie żarty do cholery? – zdenerwował się Kmiecik.

I już chciał wyjść na polanę, ale... to właśnie wówczas zobaczył po jej przeciwnej stronie blask pochodni.

- Kto to? – rzucił, już niepewny tego co chce zrobić.

Gospodarz przystawił tylko palec do ust, a zaraz potem wskazał w oddali kolejną pochodnię. Kmiecik pokręcił głową. Nic z tego nie rozumiał. Kim mogli być ci ludzie? Popatrzył na schowanego za krzakiem gospodarza. I... czemu mieliby się przed nimi kryć? A pochodni było coraz więcej. Zbliżały się do polany, rzucając wokół piekielny blask. Kmiecik w końcu też przykucnął. Stąd nie widział ich twarzy, tylko smukłe, skąpane w półmroku sylwetki.

- Kim oni są? – szepnął.

- Szukają ich – odpowiedział gospodarz.

- Kogo?

A przewodnik uśmiechnął mu się w twarz.

- Swoich ofiar.

- To jakiś żart, prawda?

- Mówią, że to demony... Demony przeszłości. Nigdy stąd nie odeszły i... Nigdy stąd nie odejdą.

Kmiecik popatrzył na Donkę, która nie odrywała spojrzenia od polany.

- Żarty sobie ze mnie robicie? Mam uwierzyć, że... - przerwał i zaśmiał się nerwowo.

- Wciąż nic nie pamiętasz? – zapytał z przerażającym spokojem w głosie gospodarz.

Kmiecik racjonalizował to sobie jak tylko mógł, ale jego serce biło coraz szybciej, jakby słyszało ten trzask gałęzi, odgłos zbliżających się zewsząd kroków.

- Zaczynam mieć tego dosyć... - podniósł głos, chcąc uwolnić się w ten sposób od obłądu, który coraz

głębiej zaglądał mu w oczy.

- Ciszej – szepnął gospodarz.

Kmiecik teraz był już prawie pewien, że ktoś robi sobie z niego żarty

- Myślicie, że dam się na to nabrać?!

Nie wytrzymał i poderwał się na nogi.

- Na ziemię! – usłyszał stanowczy szept, po czym poczuł mocne szarpnięcie.

Ale wydawało mu się, że padł jak uderzony obuchem w głowę.

Gdy po chwili otworzył oczy, leżał przytulony twarzą do miękkiego jak gąbka mchu. Wstrzymał oddech. Nie wiedział co się dzieje za jego plecami. Czuł tylko, że serce wciąż łomocze ze strachu. Ale ciszy dłuższą chwilę nie mącił choćby podmuch wiatru. W końcu odważył się ruszyć. Z początku przekręcił głowę, złapał wzrokiem szersze pole widzenia, a gdy poczuł się pewniej, przyklęknął. Gospodarz leżał obok, wciąż twarzą do ziemi. Ale gdzie do cholery była Donka? Trącił przewodnika. Ten jednak w żaden sposób nie zareagował. Uderzył go więc w ramię mocniej.

- Wszystko dobrze? – szepnął.

Ale odpowiedzi dalej nie było.

- Co jest kurwa?!

Złapał go za koszulę i przetoczył na plecy. Ciało nie uderzyło jeszcze o ziemię, nim dziennikarz odskoczył jak oparzony. Trup patrzył na niego z pozbawionych gałek ocznych i głębokich jak czeluść oczodołów. Był śmiertelnie blady, a otwartymi ustami zdawał się wołać jeszcze o litość. Takim ukazało go światło księżyca. Kmiecik przełknął ślinę, a w tamtym momencie spytany, nie odpowiedziałby choćby jak się nazywa. Minęła dłuższa chwila nim zebrał myśli, nim postarał się znaleźć wyjaśnienie, ale wyjaśnienia nie było. To mógł być tylko sen, koszmar... Dziennikarz nie pamiętał już o Donce, zapomniał o pochodniach, starał się tylko coś z tego zrozumieć... Stracił przytomność? Czy była to naprawdę tylko chwila? Ale chwila nie zmienia tyle nawet w koszmarze. Świadomość wracała, ale strach nie ustępował. Chciał stąd jak najszybciej uciec, a nie potrafił zrobić kroku. Nagle poczuł na karku dziwny chłód, jakby śmierć stanęła tuż za jego plecami. Odwrócił się, a wtedy jego serce zabiło jak...

- A mówił, że nigdy by tego nie zrobił... - przemówiła postać, której twarzy nie mógł zobaczyć.

Zasłonił oczy przed blaskiem pochodni. Zza oślepiającego światła przebijały tylko wykrzywione chorem uśmiechem usta.

- To nie ja – odparł przerażony.

A w odpowiedzi rozbrzmiał najbardziej pogardliwy śmiech jaki chyba kiedykolwiek usłyszał.

- To nie ja... - powtórzył jakby nieświadomie.

- Przyprowadziłeś też tamtą?

Kmiecik spojrział w miejsce gdzie ostatni raz widział Donkę. A gdy to zrobił, kiedy tylko odwrócił wzrok od chichoczącej przeraźliwie postaci, na las znów spłynęła głęboka ciemność. Wszystkie pochodnie zgasły jakby w tym samym momencie. W tym również ta, przed którą jeszcze chwilę wcześniej zasłaniał oczy.

Znów widział przed sobą tylko niewinne drzewa skąpane w mroku wieczora. Gdzie znikł ten tłący się na nich żądzą mordu blask przeszłości? Przetarł oczy, a potem rozejrzał się dookoła. Teraz był tam sam. Jak to możliwe? Pod nogami nie widział już ciała, wokół choćby jednej pochodni, a wspomnienie Donki zdawało się dotykać odległej przeszłości. Musiał zadać sobie to pytanie: zwariował? Postradał zmysły? Po chwili dziwnie zmęczony, chwiejnym krokiem wyszedł na polanę, która jakby wciąż, w przeciwieństwie do zmieniającego się jak w narkotycznej wizji otoczenia, cierpliwie na niego czekała. Popatrzył na zegarek i uświadomił sobie, że chyba stracił rachubę czasu. Nie był w stanie określić jak dawno rozmawiał z gospodarzem, który ich tu przyprowadził, a który teraz... Wsypali mu czegoś? Przetarł spoczone czoło. Było coś kurwa w tej wódce? Spojrzął na osmolone niebo. Gdzie był księżyc? Dziennikarz ruszył bezmyślnie przed siebie. Nie wiedział dokąd. Starał się zebrać myśli, ale nie było to łatwe. Wiedział jak się nazywa, ale ta odpowiedź przychodziła z niemałym trudem. Zatrzymał się. Nagle zobaczył przed sobą krzyże zbite z białych, brzozowych gałęzi. Wyrosły jak z pod ziemi i stanęły mu na drodze. Ale oprócz krzyży zobaczył coś jeszcze. Coś co przeraziło go chyba nawet bardziej. Skąd miał w dłoni łopatę? Rzucił ją na ziemię. Co to miało znaczyć? Popatrzył na groby, na których teraz leżała i pokręcił głową, starając się zaprzeczyć temu co widzi, temu co podpowiada mu intuicja. Ale tym razem obraz nie ustępował, za to jego serce przyspieszało jak szalone. Schował oczy w dłoni i poszedł dalej, chcąc jak najszybciej uciec z tego koszmaru. To przecież nie mogła być rzeczywistość. Ale krok miał wciąż dziwnie ślamazarny, a nogi... ciążyły coraz bardziej z każdym krokiem oddalającym go od tego przekłętego miejsca. Nie miał siły na więcej. Zatrzymał się, z trudem łapiąc powietrze w płuca. Nie wiedział jednak czy bardziej dusi go strach czy zmęczenie. Uspokoił oddech, a potem znów rozejrzał się wokół. Ale dokąd do cholery miał iść? – jakby oprzytomniał. Zdał sobie sprawę, że stracił orientację. Obrócił się kilka razy, szukając jakiegoś znajomego punktu i... zatrzymał spojrzenie na krzyżach, a dokładnie na postaci, którą wówczas... ujrzał pomiędzy nimi. To była Donka? Zmrużył oczy. Kobieta stała dumnie wyprostowana, wręcz na baczność i chyba mu się przypatrywała.

- Donka? – krzyknął.

Ale nie odpowiedziała.

- Donka, to ty?!

Ruszył w jej stronę, walcząc z opuszczającymi go cały czas siłami. Ale ucieszył się na jej widok. Ucieszył się jak dziecko na widok matki. Nie wiedział ile udało się zrobić kroków, pamiętał jednak, że to wówczas granica między snem, a jawą zatarła się na dobre.

Gdy otworzył oczy był wciąż tam, ale jakby już... kiedy indziej. Czuł się lepiej. Siły wróciły. Miał wręcz wrażenie, że przespał kilka dni. Wstał, strzepał z ubrania ziemię, a wówczas zdał sobie sprawę, że obudziły go krople deszczu. Spojrzął na niebo i dotknął mokrego policzka. A po chwili przypomniał sobie kogo zobaczył tuż przed upadkiem, czyj widok tak go ucieszył. Spojrzął w kierunku krzyży, ale teraz stały już tam same, mokły w deszczu jakby zapomniane. Ile czasu mógł tu leżeć? Świadomość wracała. Wydarzenia wieczora układały się w czasie, choć teraz bardziej zdawały się być dzie-

łem sennego koszmaru. Ruszył w kierunku krzyży. I już po chwili zauważył, że groby są rozkopane. Wspomnił łopatę, która znikąd pojawiła się w jego dłoni. O co tu kurwa mogło chodzić? Deszcz padał coraz mocniej. A gdy Kmiecik stanął nad grobami, polana tonęła już w strugach ulewy. Był cały mokry, ale uwagę skupiał tylko na tym co ujrzał w dole. Więc to nie było tylko złudzenie? Ciało gospodarza było zdeformowane, jakby przeżarte już czasem, choć woda mieszała się jeszcze ze świeżą krwią. Wyciekała z oczodołów, ściekała po wysuszonych policzkach i stopniowo pochłaniała ofiarę. Trup trzymał coś w ręku, coś co Kmiecik kiedyś chyba już widział... To spostrzeżenie wytrąciło go z letargu, przywróciło do rzeczywistości. Przyklęknął i spróbował sięgnąć po medalion, ale dół był za głęboki. Kurwa! – przeklął pod nosem. Musiał tam wejść. Nie było to łatwe, ale po chwili ześlizgnął się i stanął w dole po kolana we krwi. To był ten medalion? Wyciągnął z ręki nieboszczyka połyskującą tarczę, tę samą, która lśniła wcześniej na szyi Donki. Przewodnik zerwał to z jej z szyi? Szarpali się? Ale... czemu? – zastanowił się dziennikarz. A wyobraźnia dość szybko znalazła wyjaśnienie, przedstawiła ciąg wydarzeń. To była ona? Ta mała kurwa? Chciała... go w coś zrobić?! Popatrzył na swoje ociekające krwią dłonie. Przecież pracowała dla służb. Te komunistyczne ścierwa dalej nie chciały mu odpuścić? Znow spojrzał na ciało. Chciała go zrobić! Po to... po to było to wszystko. Czymś go naćpali, a teraz... Patrzył na zgwałconą cierpieniem twarz ofiary. A jeśli posunęli się do czegoś takiego... musieli być gotowi na wszystko. Kmiecik rozejrzał się nerwowo dookoła przekonany już, że walczy o życie. Byli tu gdzieś? Tak się z nim bawili?! Z trudem wyszedł z dołu. Miał ochotę krzyknąć, wezwać ich by wyszli z ukrycia, ale... coś, jakieś głębokie przecucie nakazało mu tylko biec... biec przed siebie i uciec stąd jak najdalej. I tak też zrobił. Zaczął przebijać się przez ścianę deszczu, z nadzieją w to, że ratunek sam go odnajdzie.

Niebo wreszcie się uspokoiło, nie rozpaczało już tak histerycznie. Użalało się wciąż nad losem tej ziemi, ale już inaczej, jak wdowa po latach żałoby na grobie kochanego męża, nieśmiało, tylko pojedynczymi łzami. Kmiecik był cały mokry, ale choć wiatr zмагаł się co chwilę i uderzał w twarz jakby wręcz chciał go zatrzymać, nie czuł zimna. Chciał się tylko stąd wydostać. Biegł pomiędzy drzewami, ciężko dysząc, zmęczony, zagubiony jak zaszczute zwierzę. Ale w końcu... przeznaczenie zaprowadziło go znow w to samo miejsce. Ujrzał pomiędzy drzewami ściany domów. Czy to była ta wioska? Zatrzymał się, niepewny tego czy aby chciał się tu ponownie znaleźć. Gospodarstwa kryły się w mroku i jakby szykowały jakąś zasadzkę. Choćby w jednym oknie nie paliło się światło. Ale to właśnie przez wioskę prowadziła jedyna droga powrotu, jaką znał. Być może za płotem wciąż czekał polonez Donki... Tak, to była szansa. Musiał być tylko ostrożny. Zaczął się skradać. Każdy krok kosztował go wiele uwagi, ale ściółka i tak złośliwie trzeszczała pod stopami. Przeskoczył płot, a potem podbiegł do ściany chałupy. Tak, to było tutaj. Czarne jak sadza kształty przebijały się zza osłony nocy. Żuraw wciąż czekał aż zanurzy się w studni, a obok stała furmanka, tym razem bez konia. I ta cisza... Czy to miejsce zawsze musiało milczeć? Mącił ją jedynie plusk deszczu w kałużach. Wokół widać było tylko ślady życia: przewrócone wiadro, rozwieszane na sznurku pranie... Kmiecik zmarszczył brwi. Czemu nikt go nie zdjął? Przecież padało... - uświadomił sobie. I czemu nie zauważył tych koszul na sznurku przed zmrokiem? Przecież przechodził dokładnie tędy. Czy to był powód dla którego zdecydował się zajrzeć do chaty? Zbliżył się do okna i zrobił to jakby instynktownie, z ciekawości. Z początku zobaczył w szybie tylko swoje odbicie, ale gdy postarał się zajrzeć głębiej, kiedy nos zetknął się z zimnym jak płatek śniegu szkłem, ciemność w końcu ustąpiła, a na czarnej, jak ziemia w piekle, podłodze dziennikarz ujrzał coś co przypominało lalkę o porcelanowej twarzy, tylko, że z powykęcany w nienaturalny sposób kończynami. To była lalka? Przeklął ślinę i... poszedł dalej. Po chwili wyjrzał ostrożnie zza rogu i zobaczył za płotem samochód. Nie, nie potrzebował przecież kluczyków. W młodości robiło się już nie takie rzeczy. Był już naprawdę blisko. Ruszył w kierunku bramy wyjazdowej. I tak naprawdę... nie wiedział czemu się przy niej zatrzymał. Zatrzymał się i obejrzał. Drzwi do chałupy były otwarte na oścież - ciężko było nie odnieść wrażenia, że zapraszały do środka, wręcz prowokowały... Czemu więc się skusił? Czemu po prostu nie odjechał?!

Wahał się, ale... tego pytania nie potrafił pozostawić bez odpowiedzi, nie potrafił tak po prostu uciec. Zawrócił, łudząc się, że jeszcze zdąży, że jeszcze ma czas, przecież tylko spojrzy, a potem się wycofa... Ruszył w kierunku wejścia do chałupy. Jak inaczej w blasku słońca wyglądała ta ławka, na którą teraz popatrzył, jakby starając się w tej chwili wszechobecnego mroku przywołać jakieś dobre wspomnienie. Pokonał dwa schodki i znów znalazł się w tej samotni, gdzie ich przewodnik miał postradać zmysły. Ale teraz izba wyglądała inaczej. Czające się w niej szaleństwo zdawało się być żywe. Zawahał się, czy aby na pewno powinien wchodzić dalej. Ale widział już róg sąsiedniego pomieszczenia, gdzie obok okna, w które przed chwilą zajrzał, stał piec kaflowy. Odpowiedź była blisko. Wszedł głębiej i o coś się potknął. Zapalił zapalniczkę i spojrzął pod nogi. Na podłodze leżała siekiera. Kmieć podniósł ją bezmyślnie. To ta sama, którą widział w szopie? Przyjrzał się uważnie. Ostrze było chyba mokre, coś z niego skapywało, ale coś... co było chyba o wiele bardziej lepkie od wody... To coś po chwili kapnęło na jego dłoń. Twarz dziennikarza wykrzywiało coraz bardziej świadome przerażenie. Matko przenajświętsza – rzucił pod nosem, po czym zdecydowanym krokiem wszedł do sąsiedniej izby. Spodziewał się już co ujrzy. Pośród poprzewracanych krzeseł zobaczył dwa ciała: kobiety i dziecka. W ciemności świeciły bledością jak porcelanowe lalki, ale to nie były lalki... Poświęcił zapalniczką głębiej i zobaczył ślady krwi. Były wszędzie... Pokręcił głową z niedowierzania, mrużąc przy tym nerwowo oczy, jakby chcąc się wreszcie obudzić. Przecież tu był... Skąd ta kobieta? Skąd to dziecko? I nagle jakby w odpowiedzi otoczenie znów zapłonęła piekielnym blaskiem.

- Teraz już rozumiesz? – rozpoznał głos Donki.

Stała na wprost niego, z pochodnią w ręku, zagrządzając drogę do wyjścia.

- Czego chcesz?! – warknął na nią groźnie.

- Tylko byś zrozumiał.

Uśmiechnęła się jak szalona.

- Zabiłaś ich!

- To ty ich zabiłaś.

- Nie wrobisz mnie.

- Nie muszę. Sam widziałeś.

Miała tak prowokacyjnie spokojny głos. Mówiła, a zdawało się, że cały czas tylko chichocze.

- Pójdiesz za to kurwo siedzieć. – Pogroził jej siekierą, którą wciąż trzymał w dłoni. - Koledzy ci nie pomogą...

- Koledzy? – zaśmiała się.

- Jebani mordercy, wszyscy pójdziecie siedzieć – podniósł głos.

- Nie... Nie pójdziemy... - oznajmiła spokojnie, po czym zrobiła krok w jego kierunku.

- Nie zbliżaj się!

- Bo co? Mnie też zabijesz?
- To nie ja ich zabiłem, nie wmówisz mi.
- Przecież wiesz co czujesz.
- Nie wrobisz mnie w to.
- Nie muszę, wystarczy cię tylko... sprowokować. Prawda?
- Nie podchodź!

Miała tak dziwną twarz, te nieruchome, cały czas wpatrzone w niego spojrzenie... I... nie widział co zaciśnięta w drugiej dłoni.

- Myślałeś, że deszcz zmyje tę krew? – zaśmiała się. – Zawsze będziesz miał ją na rękach.
- Nie...

Wciąż się zbliżała.

- Demona nie interesuje dusza, tylko ciało, w którym może się skryć. Demon czeka na okazję... - Kmiecik czuł, jak krople potu występowały na jego czoło. – A ty... Zawsze czułeś go w sobie... Prawda?
- Łżesz kurwo!
- Nie... Przez te wszystkie lata dawałeś mu tylko maskę, ale teraz...
- Nie zbliżaj się! – warknął, czując, że serce bije już jak opętane.
- Przecież nic ci nie chce zrobić. Chcę tylko zobaczyć jego twarz.

Zrobiła kolejny krok, a on po tym jak ujrzał na jej szyi medalion, niczym zahipnotyzowany, ryknął z furją:

- Aaaa!

I rąbnął siekierą w ten chory, prowokujący uśmiech, który wykrzywiał jej twarz. Czaszka trzasnęła, pochodnia uderzyła o ziemię, a... on, niczym diabeł w piekle, stał jeszcze przez dłuższą chwilę pośród coraz wyższych płomieni, które powoli zajmowały pomieszczenie. I... przyglądał się, wciąż z niedowierzaniem, temu co zrobił.

EPILOG

Dziennikarz Andrzej Kmiecik siedział na wprost dwóch komisarzy śledczych z pokornie opuszczoną głową.

- Niestety musimy pana wypuścić - oznajmił jeden z policjantów.

Kmiecik podniósł spojrzenie z biurka. Nie odpowiedział jednak ani słowem. Nie musiał. Wyraz jego twarzy był tak zrozumiały, że śledczy od razu postarał się o wyjaśnienie takiej decyzji.

- Odwiedziliśmy miejsce, które pan wskazał. Rzeczywiście była tam kiedyś wioska, ale... według relacji ludzi z okolicy... Spłonęła podczas drugiej wojny światowej.

- To niemożliwe.

- Byliśmy tam.

- Wiem co widziałem.

- Więc niech pan popatrzy na zdjęcia. - Śledczy pokazał fotografie. – Zostały jakieś zgliszcza, którymi miejscowi czasem straszą dzieci, ale... To wszystko. Przeżył pan szok, to się zdarza. Taki wypadek... Samochód był prawie doszczętnie zniszczony.

- Nie, nie zrobicie ze mnie wariata. Zabiłem tę kobietę.

- Pytaliśmy też o panią Ostrowską w Urzędzie. Nikt o niej nigdy nie słyszał.

- Zabiłem ją! Nie rozumiecie?!

Kmiecik przetarł dłonią twarz. A śledczy wymienili się spojrzeniami.

- Takie rzeczy się zdarzają. Proszę się nie martwić, wiemy kim pan jest, zostawimy to wszystko dla siebie.

Kmiecik pokręcił głową.

- A krew? Skąd więc krew na moim ubraniu, na rękach?

- Był pan ranny.

- Matko przenajświętsza... Miałem rozcięty tylko łuk brwiowy!

- Powinien pan wrócić do domu i odpocząć.

Wówczas do rozmowy wtrącił się drugi policjant.

- Znaleźliśmy jedynie to. Podejrzewamy, że to o tej książce pan wspominał.

Śledczy położył na biurku *Podręcznik do Demonologii*.

- Może lepiej nie czytać takich rzeczy - dodał.

Kmiecik sięgnął po książkę. Przypomniawszy sobie słowa Donki o wersie, który miał być zakończeniem jego nowego reportażu.

- W każdym razie... - przemówił drugi śledczy. - Jest pan wolny.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

J2M2, dodano 24.07.2017 18:57

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.